

Komunitarianizm jako model teoretyczno-aksjologiczny

Marta Smagacz

Wszystkie dotychczasowe wypowiedzi potwierdzają, że – czy to z perspektywy filozoficznej, socjologicznej, czy politologicznej – komunitarianizm budzi zasygnalizowane przez prof. Krzysztofa Fryszackiego nadzieje. Głosy dyskutantów poszerzają też listę pytań i wątpliwości zarówno na poziomie założeń teoretycznych koncepcji komunitarianizmu, jak i możliwości aplikacyjnych. Dopiszę do tej listy kilka uwag i kwestii, które, jak myślę, wiążą temat dyskusji z tym, czym zajmuję się jako socjolog.

Autor tekstu wprowadzającego zaznacza, że opisuje idee komunitarianizmu w kontekście amerykańskim. Ten historyczno-kulturowy kontekst nie jest sprawą drugorzędną. Jestem przekonana, że zajmując się rzeczywistością polską musimy od nowa podjąć się operacjonalizacji pojęcia. Tak, jak pojęcie kapitału społecznego zdefiniowane najpierw na gruncie amerykańskim, musiało być (i nadal jest) redefiniowane w odniesieniu do rzeczywistości europejskiej i polskiej, tak warunkiem *sine qua non*, jeśli idea komunitarianizmu w Polsce miałaby spełnić pozytywną rolę (a tego chyba oczekujemy, co widać w wypowiedziach), jest znalezienie odpowiedzi, co tutaj rozumiemy przez „dobrą wspólnotę”. W tym powinna pomóc pamięć i refleksja na temat przeszłości. W wypowiedziach dyskutantów pojawiają się pewne propozycje, do czego Polska i Europa mogłyby się odwołać (chrześcijaństwo, tradycja służby społecznej – obie propozycje są sobie *de facto* bardzo bliskie). Nie podejmuję się w tym miejscu rozstrzygnięcia, jaka w przypadku Polski byłaby to tradycja, ale jestem przekonana, że brak wspólnoty wartości fundamentalnych na poziomie państwa uniemożliwia współistnienie wspólnot niższego rzędu – co oczywiście nie oznacza, iż ogólna zgoda co do wartości wyklucza dyskusje i spory.

Dr Sołdra-Gwiżdż odwołała się do tradycji społecznikowskiej (która w nauczaniu szkolnym, zwłaszcza języka polskiego, przybrała, niestety, niemal karykaturalną postać). To odwołanie nasuwa mi na myśl to, o czym rzadko słychać w politycznym dyskursie na temat państwa, umowy społecznej, instytucji, prawa: o rzeczywistości życia codziennego. Ci przedwojenni aktywiści działali wszak w określonej wspólnocie i rozwiązywali lokalne problemy. Badacze rzeczywistości społecznej podkreślają, jak ważna jest „zależność od szlaku” i możliwość odwołania się do wzorów z przeszłości, również dla rozwoju gospodarki¹ – ja odnoszę wrażenie, że my wciąż nie jesteśmy w stanie przełamać takich interpretacji „siłaczek” i „siłaczy”, które do aktywności w życiu codziennym raczej zniechęcają.

A życie codzienne toczy się w konkretnej przestrzeni. Oczywiście, procesy i zjawiska związane z globalizacją wymuszają przededefiniowanie pojęcia wspólnoty, ale odnoszę wrażenie, że nowe ujęcia niekoniecznie słusznie marginalizują znaczenie miejsca i styczności przestrzennych ludzi. W dyskusjach polityków na temat obywatelskiej odpowiedzialności i budowania zaufania publicznego wiele jest słów o roli tradycyjnie rozumianych wspólnot (rodziny, szkoły, grup sąsiedzkich etc.), mniej jest refleksji nad tym, że owe wspólnoty zajmują określoną przestrzeń rozumianą fizycznie. Idea komunitarianizmu kojarzy mi się z odwieczną tęsknotą człowieka za kontaktami z innymi ludźmi, za nieanonimowością, za życiem w miejscu i z ludźmi, z którymi łączą jednostkę wspólne wartości, słowem – za utopią, która jest potrzebna, dopóki utopia pozostaje. Socjologowie coraz częściej obserwują, że ludzie poszukują miejsca (a nie tylko „przestrzeni”), w którym budowałiby (odbudowałiby) własną tożsamość – właśnie przez bezpośrednie kontakty z innymi i wspólne działania. O potrzebie takiej przestrzeni życiowej – oczywiście nie używając pojęcia komunitarianizmu – mówili mi na przykład ci, którzy w ten sposób uzasadniali decyzję o zamieszkaniu w zniszczonym krakowskim Kazimierzu. Podobne głosy słychać dziś w krakowskiej Nowej Hucie, gdzie coraz wyraźniej widać wspólnie podejmowane działania na rzecz

¹ Warto przypomnieć, że idea lokalnych skupisk czy też „gron” [*clusters*] staje się w Europie doceniana również jako model ekonomiczny w warunkach społeczeństwa późnej nowoczesności.

dzielnicy rozumianej w kategoriach dobra wspólnego. Pojmowanie wspólnoty ma często charakter nostalgiczno-sentymentalny (dalej zasygnalizuję, jakie mogą być tego konsekwencje), nie zmienia to jednak faktu, że nostalgia za zakorzeniem w konkretnym miejscu bywa impulsem do działań. Nie wiem, czy w tym naszym konkretnym miejscu mamy za dużo praw, ale jesteśmy za mało odpowiedzialni.

I tutaj widzę ważne zadanie teorii społecznej, a opinię tę wypowiadam na podstawie badań, jakie prowadziłam nad rewitalizacją przestrzeni miejskiej. Relacja między teorią i praktyką społeczną została już zauważona w dyskusji, ale celowo wracam do tego wątku, a raczej jego jednego aspektu. Zasadniczo zgadzamy się co do tego, że wypracowywane w ramach nauk społecznych pojęcia stają się elementem wiedzy potocznej. Tak stało się też ze wspomnianą „rewitalizacją” przestrzeni – kategoria ta przez mieszkańców miasta/dzielnicy została przyswojona dla opisu „faktu” czy też przemiany, która „ma miejsce i nic już tego nie zmieni” (można powiedzieć, że „uwierzyli w utopię”). Podmiotowość i refleksyjność jednostek pozwoliła im ożywić przestrzeń, zwłaszcza poprzez budowanie i wzmacnianie jakości relacji społecznych. Jednocześnie ową „rewitalizację” potraktowano jako coś osiągniętego raz na zawsze, a co w konsekwencji doprowadziło do uśpienia gotowości do wspólnych działań, do zaniku wspólnego celu. W toczącej się właśnie dyskusji akcentujemy kwestie aksjologiczne i teoretyczne. Ponieważ gorąco wierzę, że debata ta może mieć pozytywne implikacje dla praktyki społecznej i że wnioski z debaty przenikną do otaczającej rzeczywistości polskiej, zatem podkreślę też, że rozważamy model właśnie, a nie gotową receptę na dobre społeczeństwo.